

Katarzyna Ryrych, „Takich dwóch jak nas trzech”

Nasza kamienica jest bardzo, bardzo stara. Ze ścian gdzieś osypuje się tynk, ale pradziadek nie pozwala z tym nic zrobić. Bo pamięć. Dlatego sterczy spomiędzy drzew jakaś taka brzydka i ponura. Pewnie wszyscy, którzy przechodzą obok, myślą, że tak brzydko i ponuro jest w środku. Ale oczywiście nie mają o niczym pojęcia...

Był czas, że z tego powodu nie zapraszałam do siebie nikogo z klasy, raczej wolałam być zapraszaną. A kiedyś nawet powiedziałam, że nie mieszkam pod tym adresem, tylko przychodzę wyprowadzać psa pewnemu staruszkowi. Tym staruszką oczywiście był mój pradziadek, a psem – nasz Bąbel. To było bardzo łatwe, bo latem przeprowadziliśmy się, zmieniłam szkołę i nikt o mnie niczego nie wiedział. Bardzo zaimponowałam swoim koleżankom i opowiadały o tym wszystkim w szkole, aż na koniec historia dotarła do naszej wychowawczynie.

– Wyprowadzasz pieska starszemu panu... to bardzo ładnie, bardzo – powtórzyła i domyśliłam się, że wie, ale z jakiegoś powodu nie chciała mnie wsypać przed resztą klasy. – To musi być gdzieś niedaleko ciebie, prawda?

– Uhm – mruknęłam. Poczułam, jak piecze mnie twarz i pewnie zrobiłam się czerwona jak burak. Jedno było w tym wszystkim dobre: tuż obok, za niewielkim zielonym placikiem, stało kilka nowych bloków. I można było podejrzewać, że mieszkam w jednym z nich. Ale tak czy inaczej zrobiłam coś głupiego. Przecież to było takie proste powiedzieć, że starszy pan to mój pradziadek, a stary, gruby piesek to jego czworonożny przyjaciel.

No i ta kamienica... Pradziadek spędził tu całe swoje życie z – niewielką, jak mawiał – przerwą. O tej przerwie wspominał bardzo niechętnie, za to z uśmiechem spoglądał na wydrapane na jednej z cegieł trzy litery: M + S + J. Maciej (czyli on), Samuel i Johann.

– Bo oni byli jak trzej muszkietierowie – wyjaśnił mi mój brat.

I pewnie, pomyślałam, mieli jakieś tajne stowarzyszenie. A potem przyszło mi do głowy, że może pradziadek nie chciał, by odnowiono tę kamienicę, bo wtedy zniknąłby ten napis. A z nim przygody całej trójki. To miało sens, ale nadal miejsce, w którym mieszkaliśmy, wydawało mi się mało... reprezentacyjne. Tak, to było właściwe słowo.

Z drugiej strony nasza kamienica żyła – jakby to powiedzieć – swoim życiem. Ba, była nawet celebrytką wśród innych kamienic. Bo jeśli kiedykolwiek kręcono jakiś film, to grała w nim jedną z głównych ról. Te filmy miały wspólną cechę – wszystkie były o wojnie. A nasza kamienica nie potrzebowała żadnej charakteryzacji. Zbudowano ją na długo przed wojną, ocalała cudem i nie miała najmniejszego zamiaru się zawalić.

– Kiedyś jak już coś wybudowali, to wybudowali – podsumował tata.

Pewnie miał rację, bo na tym pięknym nowym osiedlu ciągle coś się psuło. A u nas – nic. Nawet kiedy nad miastem przeszła naprawdę wielka burza, wiatr nie strącił ani jednej dachówki.

I żyłam sobie w takim dziwnym rozerwaniu, z jednej strony wstydziłam się miejsca, w którym mieszkam, z drugiej – byłam dumna z naszej kamienicy. Strasznie mnie to gryzło, bo nie czułam się z tym dobrze. I pewnego dnia postanowiłam o tym porozmawiać. Z pradiadkiem, bo z kamienicą znał się od dawna. Pomyślałam w ten sposób, ponieważ zawsze mówił o niej jak o kimś żywym: „Ma prawie sto lat, a cieszy się dobrym zdrowiem”. Albo: „Patrzcie jak spogląda spomiędzy drzew”. Albo: „To trudny przeciwnik”.

– Bardzo dobrze cię rozumiem – powiedział pradziadek. – Te nowe domy są naprawdę ładne. Ale nasz...

Urwał i spojrzął na zegarek.

– To długa historia. Nie wiem, czy masz czas.

– Mam - odpowiedziałam.

– Mam – powiedział mój brat, który właśnie wrócił ze szkoły.

Pradziadek pokiwał głową i skinął na nas, byśmy poszli z nim do jego pokoju. Pokój i wszystko, co w nim stało, było równie stare jak kamienica, biurko należało jeszcze do jego ojca, a stojący w kącie zegar wybił niejedyn Nowy Rok. W środku pachniało kawą i wodą po goleniu i mimo że dzień był słoneczny, dokoła panował dziwny półmrok. Usiedliśmy na wąskiej kanapie, a pradziadek wysunął szufladę biurka i długo w niej czegoś szukał.

Podniosłam się lekko i wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć, co takiego skrywała szuflada.

Pradziadek co prawda nigdy nie zamykał swojego pokoju na klucz, ale ani mnie, ani mojemu bratu nigdy nie przyszło do głowy, żeby grzebać w jego rzeczach.

Oczywiście nie udało mi się dostrzec niczego, bo szuflada była głęboka i na dodatek zastaniały ją jego plecy. Coś szeleściło, coś stukało i na koniec pradziadek położył na stole gruby zeszyt. A obok niego wyblakły, podarty kawałeczek materiału.

– To jest kronika naszego bractwa – powiedział, mrugając do mojego brata, i postukał palcem w okładkę zeszytu. – Zapisywaliśmy tam wszystko co się nam przydarzyło, a było tego sporo... Cała ulica należała do nas. Zналиśmy wszystkie zakamarki, każde drzewo, każdy strych, każdą... – uśmiech na chwilę zniknął z jego twarzy – piwnicę. Sporządziliśmy nawet mapę tych wszystkich miejsc i żaden z nas nie miał pojęcia, że kiedyś...

Urwał i spojrzął w okno. Potem otworzył zeszyt i pokiwał głową.

– Zналиśmy się od dziecka.

Wstrzymałam oddech.

– Wymyślaliśmy różne zabawy, zamienialiśmy się w Indian, marynarzy, łowiliśmy ryby... Nie wiedzieliśmy, co to nuda, bo zawsze któryś z nas miał jakiś pomysł. Mieliśmy skrytki, w których zostawialiśmy sobie wiadomości, pisaliśmy je wymyślonym przez nas samym alfabetem. Ba, planowaliśmy nawet, że kiedy dorośniemy, udamy się w podróż dookoła świata, taka prawdziwą, nie wymyśloną. Ale żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że przyjdzie taki czas, kiedy powiedzą nam, że nie możemy bawić się razem, bo...

– Bo? – podchwycił mój brat.

– Nadeszła wojna... Johann musiał obiecać swoim rodzicom, że nie będzie się przyjaźnić z Samuelem, bo Samuel był Żydem, a Johann – nie. Chociaż nigdy wcześniej im to nie przeszkadzało.

– I posłuchał rodziców – westchnął mój brat. – Tak?

Pradziadek podsunął mi zeszyt.

Dziś spotkaliśmy się za rogiem. Johann po raz kolejny wymknął się z domu, nie mówiąc nic rodzicom. Poszliśmy nad Wisłę i piekliśmy ziemniaki.

– I dobrze! – wykrzyknęłam.

– Mogło być i tak – powiedział powoli pradziadek – że rodzice Johanna robili to ze strachu. Ojciec zawsze mówił, że to porządni ludzie. Pewnego dnia zobaczyłem, że Samuel nosi na rękawie kurtki opaskę z gwiazdą. Musieli je nosić wszyscy Żydzi.

– Po co? – wyrwało mi się.

– Żeby wszyscy widzieli, że są Żydami. Kazano im. A gdyby tego nie zrobili, mieliby poważne kłopoty.

– Bez sensu – mruknął mój brat. – Przecież to jakaś bzdura.

– Też tak się nam wydawało. Kiedy się spotykaliśmy, prosiliśmy Samuela, żeby ją zdjął, ale tłumaczył, że nie może tego zrobić, i mówił, że z opaską czy bez nadal jest Samuelem z tajnego bractwa. A potem Samuel zniknął. Podobnie jak wszyscy Żydzi z naszej ulicy.

Dziadek wygładził leżący na biurku kawałek materiału.

– I to jest jego opaska, tak? – zapytałam.

– Nie... Znalazłem ją na ulicy i zabrałem do domu. Ale to było dużo, dużo później.

Zatrzymałem ją, bo przypominała mi o Samuelu. Spotykaliśmy się już tylko we dwóch, ja i Johann, choć jego rodzice też patrzyli na to krzywym okiem. Tylko że bez Samuela nasze stowarzyszenie było już nie to samo. Czasami z przyzwyczajenia dzieliliśmy znalezione jabłko na trzy części i zostawialiśmy tę trzecią, zupełnie jakby mógł ją jakimś cudem sobie wziąć. Nagle przestaliśmy się bawić. Chodziliśmy w nasze stare miejsca, ale one też nie były już takie same. Kogoś brakowało. A potem zostałem sam, bo Johann wyjechał, nie zostawiwszy adresu.

– Któregoś dnia – ciągnął opowieść pradziadek – ojciec poprosił mnie, żebym pokazał mu wszystkie nasze kryjówki. Nigdy nie sądziłem, że będą kiedyś potrzebne dorosłym... Kiedy we trzech robiliśmy mapę okolicy, nie przyszło mi do głowy, że pewnego dnia zabawa zamieni się w coś innego. Dałem naszą mapę tacie i nagle się okazało, że on też miał swoje tajne bractwo. Tylko że to było na serio – westchnął. – Tata spotykał się z dwójką swoich przyjaciół, kiedy rozmawiali ze sobą, zamykali się w gabinecie, żebym przypadkiem czegoś nie usłyszał, ale kiedy stawałem na korytarzu z uchem przyłożonym do drzwi, czasami udawało mi się wyławić pojedyncze słowa: „dokumenty”, „ubrania”, „getto”.

Pradziadek uśmiechnął się.

– Gdyby ta kamienica umiała mówić... Opowiedziałaby pewnie niejedną historię.

– A gdyby tę naszą kamienicę odnowiono i zniknąłby napis – powiedział mój brat – to nie zostałyby po tamtym czasie ani śladu, tak?

Tego wieczoru nad ulicą świecił ogromny złoty księżyc. Chociaż rodzice protestowali, że jest późno, zabrałam na spacer dziadkowego psa i obiecałam, że wyjdę tylko przed bramę. Wcale nie musiałam iść daleko, by przyjrzeć się naszej kamienicy. W świetle księżyca wydawała się taka tajemnicza, niepodobna do innych. I chyba nigdzie w naszym mieście nie było takiej samej.